

ZREKOWINY

- Kyra zniknęła.

Na zamkowym podwórku zrobiło się nagle cicho. Zsiadający z konia gubernator zawisł jedną nogą w strzemieniu, krew nabiegła mu do twarzy. Morgan przytrzymał niespokojnie drepzczącego wierzchowca, odgonił chudego psa, płaczącego się pomiędzy przyjezdnyimi.

Rankiem pojechała na przejażdżkę. Sama - podkreślił ponuro pan Abayell. - Ja i moi ludzie właśnie ruszamy na poszukiwania.

Rhodes skinął głową, wyjął nogę ze strzemienia i spojrzal na Morgana.

- Pojedziemy, panie. Znajdziemy panienkę Kyrę. Dał znak i gwardziści zawrócili ku bramie, którą dopiero co przekroczyli. Morgan ruszył za nimi, słysząc za plecami wysoki głos pani Tekelji, małżonki gubernatora:

- To twoja wina, że samowolna jest i krnąbrna...

Mrok Czail się pomiędzy drzewami, mamil wzrok, wyolbrzymiając cienie, zamazując kontury. Powietrze było wilgotne, pachniało pleśnią i grzybami. Ptaki układały się do snu, wyśpiewując ostatnie kolysanki, wtórując szeptom liści i poskrzypywaniu konarów.

Morgan jechał ledwie widoczną dróżką, uchylając się przed gałęziami, oganiając od natrętnych owadów. Poprowadził swych ludzi w las, podczas kiedy gwardziści Abayella przetrząsali okoliczne wioski i gościńce. Noc była tuż, niebo ponad koronami drzew ciemniało coraz bardziej, a oni nie trafili na najmniejszą choćby wskazówkę, żaden ślad, który zaprowadziłby ich do Kyry. Morgan dawno przestał słyszeć swoich towarzyszy, wiedział, że wkrótce zrobi się za ciemno na poszukiwania, ale zawrócić nie pozwalała mu myśl, że dziewczyna może leżeć za najbliższym krzakiem, w byle którym wykrocie, ranna, nieprzytomna, bezradnie czekająca na pomoc. Dlatego nie zważał na brzęczące roje komarów, bezlitośnie kąsających spocone ciało, ani na chlaszczące go po twarzy gałęzie, i brnął dalej w las. Zatrzymał się na chwilę, by spojrzeć w niebo, na którym błyszczały już pierwsze gwiazdy i wtedy usłyszał głosy, dalekie echo wypowiedzanych słów. Ogarnął go nagle bezrozumny lęk. Zsiadł z konia, omotał wodze wokół drzewa i ściskając w dłoni miecz ruszył w ciemność. Głosy to cichły, to wibrowały krzykiem. Były ochryple, wrzaskliwe, pełne pijackiej buty i zawziętości. Najpierw słyszał pojedyncze słowa, potem fragmenty zdań.

- Okup weźmiesz! ...będzie większy... Tknąć spróbuj, a flaki wypruję! ...wiesz, kiedy wracać będzie?!

Morgan widział już słaby blask pomiędzy drzewami. Szedł teraz rozważnie, trzymając się cienia, choć czuł, że powinien się spieszyć.

- Nie boję się ciebie, Breg! Takiś ważny, bo z panami w komitywę wchodzisz! Tę dziewczkę ja złapałem i mnie się należy, a co z nią zrobię, to nie twój zasrany interes!

Zatrzeszczały miazdzone gałązki, piasnęły zderzające się ciała. Morgan widział już splecione cienie, słyszał charkot i zduszone przekleństwa. Podeszedł jeszcze bliżej i wyjrzał, rozchylając klujące gałęzie jalowca.

Na niewielkiej polanie, oświetlonej wątlm płomieniem ogniska, zajądło walczyło dwóch mężczyzn. Trzeci, którego Morgan zauważył dopiero po chwili, pochylał się nad przywiązaną do drzewa młodą kobietą - i wtykał jej ręce pod sutą spódnicę. Branka rzuciła się w więzach i choć gwardzista nie widział jej twarzy, wiedział, że za chwilę zacznie krzyczeć. Spiesznie przemknął za plecami okładających się pięściami zbrojów i złapawszy obślinionego bandytę za włosy, poderżnął mu gardło. Okrwawioną dłonią zakrył otwarte do krzyku usta dziewczyny.

- Jest ich więcej? - szepnął.

Kiedy pokręciła przecząco głową, runął pomiędzy ciągle walczących mężczyzn i rozdzielił ich cięciami miecza. Jeden padł od razu, bluzgając krwią z rozplataną piersi, drugi, ledwie raniony, usiłował odczołgać się w bok, pomiędzy krzaki, ale Morgan zatrzymał go, przykładając mu ostrze do karku.

- Nie zabijajcie - zacharczał drab - ja na służbie u pana. Długo powstrzymywany kobiecy krzyk zagłuszył słowa, rozniósł się echem w ciemnościach, odbił od ściany drzew i wrócił, mieszając z histerycznym szlochem Żolnierz walnął pięścią w pokrwawiony, zarośnięty pysk i przypadł do dziewczyny. Przeciał więzy i podtrzymał, kiedy omal nie upadła.

Rzuciła się na niego z pięściami, kopala, próbowała podrapać, a lzy płynęły jej po twarzy niepowstrzymanym strumieniem. Pozwolił, by wyladowała na nim swój gniew, pozbyła się strachu, ukarała za upokorzenia. Kiedy ucichła, podprowadził do zwałonego pnia, usadził i napił odrobiną wódki, której nie zdążyli wypić bandyci, potem związał i zakneblował ogłuszonego draba, przeszukał śmierdzące, przesiąknięte krwią ubrania, poodcinał trupy w krzaki, kątem oka widząc, jak dziewczyna wstaje i mściwie kopie nieprzytomnego. a potem spluwa wprost na pokiereszowaną twarz.

Wystarczy, panienko powiedział łagodnie, na nowo usadzając ją na pniu.

- Ktoś ty? - spytała buńczucznie, choć w jej oczach ciągle krył się strach.

- Jestem Morgan, komendant garnizonu Mulacium - przedstawił się, ciekaw, czy go pamięta, ale dziewczyna tylko skinęła głową.

- Głodna jestem. Myślisz, że to da się zjeść? - mruknęła, wskazując porzuconego w trawie, nabitego na patyk przypalonego zająca.

Kyra spała, nakryta żołnierskim kaftanem, a obok czuwał komendant, wsparty o pień drzewa, z obnażonym mieczem na kolanach. Patrzył na dziewczynę, której twarz jaśniała pośród szarości wstającego świtu. Brudne, podrapane lico przywiodło mu na myśl obrazy sprzed lat, obudziło wspomnienia.

Gubernator Rhodes nie zaznał szczęścia w małżeństwie. Pani Tekeija, młoda, piękna i bogata nie považala starszego od niej, statecznego małżonka i nudziła się w Mulacium. Z tego niedobranego związku urodziła się Kyra. Rezulutna dziewczuszka była ulubienicą ojca, dworaków, zamkowej służby i czeladzi. Nie było w ogrodzie drzewa, na które by się nie wspięła, ani kąta, do' którego by nie zajrzała. Myszkowała po komnatach, kuchniach, stajniach i żołnierskich kwaterach. Wytworne aksamitne sukienki były wiecznie podarte, włosy potargane, a pulchne cialko pełne siniaków i zadrapań. Ojciec łatwo wybaczal jej dziecięce figle, rozpieszczając ponad miarę, rekompensując chłód wiecznie skwaszonej i niezadowolonej z życia matki. Zbytnie pobłażanie wybrykom córki, która zamiast uczyć się haftu, tańca i dworskiej etykiety, spędzała czas w stajniach i na zabawach z dziećmi służących, posłużyło pani Tekelji jako pretekst do ostatecznego rozstania z mężem. Zabrała córkę i obie udały się do posagowego majątku gubernatorowej, położonego w dalekiej Bresanii. Rhodes i Tekeija nadal pozostawali małżeństwem, bowiem wspólne spełnienie Pucharu Zaślubin związało ich ze sobą na całe życie, lecz odtąd pozostawali rozdzieleni.

W Mulacium nie tęskniono za panią zamku, ale odejście siedmioletniej natenczas Kyry było smutnym wydarzeniem. W starych, dostojnych murach zabrakło radosnego śmiechu i malej, ruchliwej sylwetki.

Początkowo Rhodes jeździł w odwiedziny do Bresanii, potem i to się urwało, bo w królestwie nastaly nowe, niespokojne czasy. Protektor Zebon rozwiązał część armii, obniżając w ten sposób podatki, a skutkiem tej decyzji była stale rosnąca liczba napadów i grabieży. Najsilniej odczuli to mieszkańcy słabo zaludnionych Rubieży, prowincji zarządzanej przez Rhodesa. Handel zamieral, wsie pustoszały, pola leżały odlogiem,

gościńce przestaly być bezpieczne. Mając to wszystko na głowie, gubernator zaniedbal rodzinę. Jednak od niedawna sytuacja zaczęła się zmieniać. Na Rubieże został wysłany specjalny oddział wojska, który miał za zadanie rozbicie zbójceckich band, ochronę wsi i dróg. Rhodes z radością powital Jastrzębia, dowódcę owego oddziału i wspieral go finansowo, bo Protektor, wyslawszy żołnierzy aby uciszyc niezadowolonych, zapomnial o wyplacaniu należnego im żołdu.

Kiedy wszystko wydawalo się isc ku lepszemu, Rhodes otrzymał list od swej małżonki, zawiadamiający go o zrękowinach siedemnastoletniej już Kyry z Abayellem, panem na zamku Osm. Gubernatora do żywego ubodlo, że małżonka nie spytała go o zdanie w sprawie tak ważnej i sama postanowila nie tylko o przyszłości córki, ale i całej prowincji. Zaraz po otrzymaniu wiadomości Rhodes wyruszył do Osm, gdzie miały się odbyć zrękowiny. Zabrał ze sobą poczet gwardzystów pod wodzą Morgana, zarówno dla ochrony, jak i podkreślenia swej niemalej przeciez pozycji.

Morgan delikatnie odsunął kosmyk włosów, który opadł na policzki Kyry. W śpiącej u jego boku młodej kobiecie bez trudu odnajdywał tamtą zadziorną dziewczuskę, choć z jej twarzy zniknęła dziecięca pucołowatość, a subtelne rysy i zgrabna postać o bujnych piersiach i smukłym stanie przywodziły na myśl urodę matki.

Kiedy świt rozjaśnił niebo, odnalazł spętanego, spokojnie pasącego się wierzchowca Kyry, załadowal na niego jeńca i poprowadził zziębniętą dziewczynę w miejsce, gdzie zostawił Swojego konia. Posilili się twardymi jak kamień żołnierskimi sucharami, popili wodą z bukłaka i ruszyli w stronę gościńca. Kyra siedziała przed Morganem, tuląc się do jego szerokich ramion, próbując ogrzać się ciepłem jego ciała.

- Pamiętam cię - mówiła, szcękając zębami. - Wszedłeś po mnie na najwyższe drzewo i zamiast złoic skórę, nakarmileś lakociami. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? - spytała, a komendant przez chwilę myślał, że chodzi jej o dzień sprzed prawie dziesięciu lat. - Zjawileś się na tej polanie jak duch.

- Ludzie pana Abayella przeszukiwali wsie i gościńce, a my pojechalismy w las. To szczęśliwy traf, że cię znalazłem, panienko.

Pokiwała głową, markotna, zamyślona.

- Pewnie myślisz, że głupia jestem i rozwydrzona, ale... Oeh, Morgan, musiałam choć na chwilę wyrwać się z tego zamku, odetchnąć od matki i Abayella. Oni oboje troszczą się o mnie, pilnują każdego kroku, dbają, żeby mi niczego nie braklo. Mam uczucie, jakbym się dusila...

- Nie podoba się panience narzeczony? - spytał komendant i zaraz zbesztal się w duchu. Nie powinien zadawać takich pytań.

- Sama nie wiem- mruknęła.- Jest grzeczny i przystojny. Kiedy jestem blisko niego to zdaje mi się,

że go kocham... Ale dopiero tu, w lesie, pierwszy raz od kiedy jestem w Osm, czułam, że oddycham swobodnie. Abayell mnie czasem przeraża, kiedy na mnie patrzy, kiedy mnie dotyka.... Zresztą, to nie twoja rzecz! - krzyknęła nagle zarumieniona i rozeźlona na siebie i Morgana.

- Nie moja - potwierdził gwardzista.

Jechali w milczeniu, przedzierając się przez pasma porannej mgły, wsłuchani w ptasie trele, zmoczeni rosą, zmieszani wymuszoną bliskością ciał. Było już prawie południe, kiedy wreszcie trafili na gościniec i spotkali patrol pod wodzą samego Abayella. Morgan czuł wyraźnie, jak dziewczyna wzdrygnęła się pod dotykiem narzeczonego i przez jedną szaloną chwilę pomyślał, że mu jej nie odda.

Pan Osmu troskliwie zaopiekował się swoją damą. Ucałował jej ręce, okrył płaszczem, napił winem i posadził przed sobą na koniu, czule obejmując ramieniem.

Morganowi droga do zamku dłużyla się niezmiernie, a kiedy wreszcie tam dotarł, nie mógł marzyć o odpoczynku. Przekazał schwytanego opryska Ulrykowi, dowodzącemu miejscowym garnizonem, potem sam Abayell zaprosił go do swoich komnat i szczegółowo wypytał o okoliczności spotkania z Kyra. Morgan był zmęczony tak bardzo, że nie mógł potem przypomnieć sobie, co tak naprawdę powiedział panu na Osm.

Gubernatora Rhodesa nie było na zamku. Wraz z innymi od świtu wyruszył na poszukiwania córki. Wrócił dopiero po południu. Morganowi jego niska sylwetka z widocznie zaokrąglonym brzuchem wydawała się być jeszcze mniejsza. Nie umknął mu widok drżących dłoni, zaczerwienionych oczu ani to, że gubernator wzruszenie pokrył złością.

- Gdzie ta smarkula!? - wrzeszczał. - Sto różeg na gołe ciało powinna zebrać za takie eskapady! Gdybyś nie znalazł jej w porę... gdybyś jej nie znalazł... - głos mu się zalał. - Dziękuję, Morgan.

- Panie, trzeba by przepytała bandytę, którego przywiodłem - zmienił temat zakłopotany Morgan. - Panią Kyra mówiła, że wypytywali o ciebie...

- A, tak, racja. Porozmawiam o tym z Abayellem.

W zaniku trwała uczta. Morgan został dopuszczony do pańskiego stołu i zasiadł na szarym końcu, za towarzysza mając kapłana w brązowej szacie. Komendant z ciekawością przypatrywał sre panu Abayellowi i gubernatorskiej córce, siedzącym na honorowych miejscach. Pan Osmu, przystrojony w zółć i czerń, barwy swojego domu, był pociągającym mężczyzną o harmonijnej sylwetce i zniewalającym uśmiechu. Ostre kolory podkreślały smagłość skóry i niezwykłą czerń przenikliwych oczu, mocno kontrastujących z błękitnymi tęczęwkami Kyry. Obydwoje tworzyli wyjątkowo urodziwą parę i wyglądali na spokojnych i swobodnych.

Abayell wyraźnie adorował swoją damę, podsuwając jej osobiście co smaczniejsze kęsy i dolewając wina, a Kyra przyjmowała te uprzejmości z wdziękiem, obdarzając swego towarzysza uśmiechami i ploniąc się, kiedy szeptał jej coś do ucha, zerkając przy tym w odsłonięty śmiało, dekolt. Wyglądali na prawdziwie zakochanych. Zajęty obserwacją dziewczyny komendant przestał zważać na swego sąsiada i drgnął, kiedy tuż przed nim przewrócił się kubek, a wino chlapanęło na obrus.

- Czarostwo to występki przeciwko Bogu i naturze! - dowodził krzykliwie podchmielony kapłan swemu sąsiadowi z prawej. - Tych odszczepieńców trzeba ścigać i palić na stosie, żeby nie mogli się odrodzić! I to my, słudzy Boga o Wielu Obliczach, zostaliśmy powołani, żeby wytępić to plugastwo! Z bożą pomocą dokonamy tego - zakończył triumfalnie, wodząc wokół zamglonymi oczami.

Morgan odsunął się od przesadnie gestykującego mnicha. Usta wykrzywił mu ironiczny uśmiech. Rzeczywiście, pomyślał, udało wam się spalić na stosie każdego uzdrowiciela, każdą zielarkę i setki niczemu niewinnych ludzi - mężczyzn, kobiet i dzieci, biedaków i bogaczy, zagarniając, przy okazji ich majątki. A wszystko to w imię boże.

Z trudem doczekał końca uczty i wyszedł jako pierwszy. Zajrzał do swoich gwardzistów, a potem przystanął w korytarzu, czekając na Rhodesa. Gubernator, podniecony winem, miał ochotę na przechadzkę, wyszli więc na dziedziniec.

- Och, Morgan - rozczulił się Rhodes - widziałeś, jak on na nią patrzył? Kocha ją prawdziwie, nie innego. Moja Kyra będzie miała w Abayellu dobrego męża, a Rubieże zacnego władcy.

- Więc zrekowiny już postanowione? - spytał Morgan, nie rozumiejąc, skąd się wzięło ogarniające go uczucie niepokoju.

- Poblogoslawilem im. Zaślubiny mogą się odbyć choćby jutro.

- Skąd ten pośpiech, panie? Ledwo co przybyliśmy...

- Nie ma na co czekać, nie ma na co czekać, Morgan - zatarł ręce gubernator. - A dla ciebie mam zadanie. Obliczom bożym tylko wiadomo, co wstąpiło w tę dziewczynę, że wczoraj zniknęła. Ty bacz, by nie uciekła znowu. Masz jej pilnować jak oka w głowie. Pojmujesz, Morgan? Jak oka w głowie!

- Rozkaz, panie - wyprężył się komendant. - Wybacz, że wspominam o tym w tak radosnej chwili, ale czy rozmawiałeś z panem Abayellem o bandytach? Mogę przesłuchać tego, którego przywiodłem?

- Hm - zakłopotał się nagle Rhodes i potarł zroszoną potem łysinę. - Od niego niczego się już nie dowiesz. Abayell rozkazał go powiesić.

Poprowadził go przez oświetlony pochodniami dziedziniec na mury i wskazał w dół. W zwodniczym świetle smolnych drzazg widać było szubienicę obciążoną ciężarem wisielca. Morgan wzdrygnął się od nagłego chłodu, który go ogarnął i zacisnął zęby. Bał się powiedzieć za dużo.

Zamek Osm pogrążony był w ciszy nocy. Gwardziści i służba drzemali w korytarzach, strzegąc snu jego mieszkańców. Po pustych komnatach i przejściach przemykały cicho koty, błyskając zielonymi ślepiami. Pochodnie paliły się z rzadka, wywołując iluzoryczne cienie, przyciągając nocne owady, krążące wokół nich jak satelity. Czas zdawał się płynąć wolniej niż zwykle.

Morgan, pełniący wartę przed drzwiami Kyry, przyklnął oczy i wsparł się o ścianę, marząc o kufle grzanego piwa i wygodnym łóżku, gdy wszechobecna ciszę zakłócił delikatny zgrzyt. Wyprostował się i zamrugał oczami, płosząc sen, bo drzwi komnaty uchyliły się i wyszła z nich Kyra. Szła niczym lunatyczka - pogrążona we śnie, lecz z otwartymi żrenicami. Delikatna nocna szata rozwiewała się przy każdym kroku, odsłaniając smukłe nogi, a potargane od snu włosy tworzyły ciemną aureolę wokół głowy. Była tak kusząco piękna i tak nierzeczywista, że Morgan osłupiał. Przeszła obok, nie zauważając ukrytej w mroku sylwetki i była już przy następnych drzwiach, kiedy wreszcie oprzytomniał. Dogonił ją w paru krokach i cicho, nie chcąc przestraszyć, powiedział:

- Panienko. Panienko Kyro.

Pogrążona w transie dziewczyna nie zareagowała. Morgan dotknął jej ręki, trzymającej ciężkie skrzydło drzwi.

- Kyra - powtórzył miękko. - Obudź się. Nie powinnaś teraz wychodzić.

Ten dotyk wstrząsnął nią i widać wytrącił ze sypialki, bo oczy spojrzały przytomniej.

- Co... gdzie... - wymamrotała.

- Powinnaś wrócić do łóżka, panienko.

- Morgan?

- Tak, to ja.

Wziął ją za ramię i poprowadził jak dziecko. Wyrwała się dopiero pod drzwiami swojej sypialni.

- Skąd ja się tu... Co tu robisz?

- Gubernator rozkazał mi czuwać nad twoim bezpieczeństwem, panienko. Zbudził cię pewnie jakiś zły sen. Dokąd chciałaś pójść?

- Nie wiem. Chyba do... do...

Nawet mimo panującego mroku komendant zobaczył, jak na policzki dziewczyny wypłynęły krwiste rumieńce.

- Morgan - szepnęła po chwili, spuszczać głowę.

- Tak.

- Nie odejdziesz stąd, prawda?

- Nie, panienko.

Na chwilę wsunęła swoją drobną dłoń w jego szorstką rękę i uściśnęła ją, a potem zniknęła równie nieoczekiwanie, jak się pojawiła.

Morgan oparł się o ścianę. Czy to sen?, spytał sam siebie. Podszedł do okna, otworzył okiennice i pozwolił, żeby nocne powietrze ochłodziło mu twarz. Mzyl deszcz, wysunął się więc, aby pochwycić w

dłonie choć parę kropeł i przemyć oczy. Wtedy zobaczył ciemną sylwetkę w oknie pana zamku. Pewnie chłód sprawił, że wstrząsnął nim deszcz. Wrócił pod drzwi Kyry i resztę nocy spędził, krążąc w kółko po zdeptanym kobiercu, z ręką na głowni miecza.

W zamku od rana trwały przygotowania do zaślubin i mającej po nich nastąpić hucznej uczty. Słychać było kwik zarzynanych zwierząt i gdakanie idącego pod nóż ptactwa. Morgan, który do południa odsypiał nocne czuwanie, w tym rozgardiaszu nie miał wiele do roboty. Zjadł bardziej niż skromne śniadanie, przeszedł się leniwie po dziedzińcu, pogawędził z gwardzistami i zaszedł do stajni, a potem ruszył do osady rozłożonej wokół zamkowych murów. Porozglądał się po straganach, zajrzał do karczmy i wreszcie przysiadł na ławie przed gospodą "Pod kogutem", przyciągnięty zapachem pieczonego na rożnie prosiaka. Zapatrzył się na górującą nad okolicą sylwetkę zamku.

Budowlę wzniesiono z szarego kamienia, odcinającego się wyraźnie od zielonych wzgórz. Okrągła wieża obserwacyjna sterczała ponad dachy części mieszkalnej, a na jej szczycie dumnie powiewał żółto-czarny proporzec pana na Osm. Ciężka bryła z rzadka poznaczona była wąskimi oknami, gdziegdzie błyskającymi w słońcu szybkami lub zasłoniętymi drewnianymi okiennicami. Budowlę opasywały ozdobione blankami mury, przydając jej solidności i powagi. Przy bliższym jednak przyjrzeniu się solidność owa okazywała się uludą. W wielu miejscach kamienie kruszyły się, a w niektórych całkiem wypadły, tworząc jaśniejsze plamy. Tak samo jest w całym zamku, uświadomił sobie Morgan. Ściany w sali biesiadnej zasłonięte były materią i proporcami, a pochodnie rozmieszczono tak, by kąty i powala tonęły w mroku. Wszędzie unosił się zapach pleśni i rozkładu, jaki zwykle czuć w długo nie opalanych pomieszczeniach. Stajnia to była zwykła szopa, a koszary bardziej przypominały cele więzienne niż wojskowe kwatery. Zamożność, którą demonstrował pan Abayell, musiała być mocno przesadzona.

Rhodes nie poskapi córce wiana, pomyślał znów Morgan, a kiedy umrze, Abayell obejmie jego dziedzinę w Mulacium i będzie mógł żyć w dostatku. Nie nastąpi to szybko, przecież gubernator nie jest starym człowiekiem, może żyć i dwie dziesiątki lat. Jakaś myśl pojawiła się gdzieś na krańcach świadomości, ale nim zdążyła dojrzeć, przysiedli się do niego Damas, jego podkomendny z Mulacium i gwardzista z Osm. Morgan rad był towarzystwu, bo spłoszyło ponure myśli, więc zamówił następne kufle piwa. Gwarzyli, wspominając żołnierską służbę i czasy, kiedy dwory pełne były radości i śmiechów, a stopy zapalano jedynie w czas równonocy wiosennej, dla zapewnienia pomyślnych zbiorów.

• - Ja tam tych mnichów nie lubię - mruzczał gwardzista. - Ale pan Abayell zawsze jakiegoś na

dworze gości. A ten ostatni najgorszy. W kazaniach jeno sierpem Bengh straszy i czarowników po wsiach szukać każe. Nie tak tu dawniej bywało, nie tak... Krajes, ojciec Abayella, sprawiedliwy był pan, choć i on twardy dla ludzi był. Tera, szkoda gadać... - Machnął ręką i wychylił duszkiem swoje piwo.

Prosiak nareszcie doszedł i każdy dostał swoją, pachnącą ziołami, porcję. Gwardzista jadł łapczywie, zagryzając grubymi pajdami chleba i obficie przepijając piwem, a kiedy skończył, wylewnie podziękował Morganowi i pospiesznie się pożegnał.

- Też mi się znajomek trafił - burczał Damas, wysuplując miedziaki z sakiewki. - Pojadł, popił za trzech i uciekł. No, ja mu tak łatwo nie daruję. Zżarł tego chleba, jakby przez tydzień głodny chodził...

- Daj pokój - zbył go Morgan, wspominając zamkowe śniadanie. - Zapłacę. Co tam na dworze? Wszystko gotowe?

- Ano tyle, ile w tym pośpiechu zrobić można. Ciekawym, czym Abayell tak sobie gubernatora zjednał, że zamiast zrekowin, weselisko na gwałt szykują?

- Nie nasza to rzecz - zgromił go, nagle rozzłoszczony, Morgan.

- A pewnie, pewnie - sploszył się gwardzista. - To ja już na zamek wrócę.

Zapłacił i odszedł spiesznie, bojąc się narażać na gniew dowódcy. Komendant znów został sam. Zamówił następny kufel i dopijał piwo, gotując się do odejścia, kiedy jego uwagę przyciągnęła toczona półgłosem rozmowa.

- ...nie zapłacili i trzech chłopów powiesić kazal. A z czegoż płacić, kiedy lato nieurodzajne. 'Słońce zboże wysuszyło, zanim dojrzeć zdążyło. Strach pomyśleć o przednówku.

- Teraz inne czasy nastaną, kiedy żonę sobie weźmie. Musi być panna posażna i powiadają, że nadobna bardzo.

- Malo my tu mieli nadobnych dziewczek? Wspomnij Zoliję. Zmarnował ją do cna...

- At, przestałbyś jęzorem po próżnicy mlócić. Nigdy nie wiadomo, w czyje uszy to trafić może.

Rozmówcy rozejrzeli się wokół, ale Morgan zdążył opuścić wzrok. Wysączył do końca swoje piwo, zapłacił i znów ruszył pomiędzy kramy i sklepiki. Po jakimś czasie w jednym z nich, pełnym paciorków i kolorowo tkanych chust, wypatrzył gadulę z gospody. Pomacał sakiewkę i śmiało wszedł, oglądając materiały, przebierając korale. Kramarz patrzył mu na ręce i zachęcał do kupna, podsuwając coraz to nowe szmatki. Morgan wziął jaskrawą chustę i czerwone paciorki, a placąc, błysnął złotem.

- Towarzystwa szukam - powiedział, obracając monetę. - Wpadło mi w ucho imię jakiejś Zoliji i to, że ponoć urodziwa bardzo. Nie wiesz, gdzie ją znaleźć można?

Kupiec łakomym wzrokiem patrzył na pieniądź, ale usłyszawszy miano, nerwowo przelknął ślinę.

- Urodziwych dziewczek tu niemało i niejedna chętnie wam towarzystwa dotrzyma, panie.

- A czemuż nie owa Zolija? Krzywdy jej nie zrobię i płacić mam czym. Powiedz, gdzie mieszka, a za fatygę skapić nie będę.

- Gdzie mieszka? Ano wedle garbarskiego mostu, w lepiance, ale ona ostatnio do towarzystwa niezdarna.

- Już ja ją przekonam - wyszczerzył zęby Morgan, weiskając monetę kupcowi. - Bywaj zdrów.

Kramarz przygryzł pieniądź i zrecznie, niczym magik, schował do kieszeni. Poczekał, aż jego klient zniknie za rogiem i zamknął sklepik, mamrocząc coś pod nosem.

Morgan przeciskał się pomiędzy ludźmi coraz bardziej zły na siebie.

- Co mnie obchodzi ta jakaś Zolija? - mruzczał. - Piwo mi chyba rozum zaćmiło, starzeję się i już. Sztukę złota wydałem, zgłupiałem widać do cna... A tu i garbarski most, i lepianki. E, ty tam, gdzie Zolija mieszka?'

Zaczepony chłystek wskazał jedną z bud i uciekł, uśmiechając się głupawo. Komendant poczuł się nagle nieswojo. Przystanął przed wejściem, odetchnął głęboko, a ręka mimowolnie powędrowała w dół, sprawdzając, czy miecz łatwo wychodzi z pochwy. Wreszcie wszedł do środka. W izbie było ciemno, stał więc chwilę nieruchomo, nim oczy nie przywykły do mroku.

- Jest tu kto? Szukam dziewczki, co ją Zolija wołają. W pomieszczeniu dało się słyszeć poruszenie i spoza kupy śmierdzących szmat wypelzła postać odziana w lachmany.

- Coś za jeden? - zabrzmiał ochryply szept.

- Gwardzista. Porozmawiać z Zolija chciałem.

- Ze zamku? Ze zamku... Więc przysłał po mnie, wiedziałam, że przyśle. Nie darmo czekałam, nie darmo. Czekaj, ja zara gotowa będę.

Morgan patrzył, jak skureczona sylwetka grzebie w stosie lachmanów i odganiał natrętne muchy, których w izbie było pełno. Od strasliwego smrodu zakręciło mu się w głowie, cofnął się więc do wyjścia.

- Nie idź! Ja gotowa zara będę! - dogonił go histeryczny wrzask.

- Wyjdę napowietrzę. Duszno tutaj.

Czekał dobrą chwilę, rozglądając się wkoło. Nie widział jeszcze takiej biedy. Lepianki były nędzne, a ludzie, którzy z nich wypelzali, patrzyli na niego tępo. Wzdęte od głodu brzuchy okrywali szmatami, w których więcej było dziur niż materiału. Nierzadko na ich ciele jętrzyły się rany pełne robactwa.

- Jużem gotowa, mozem iść - dobiegl go chrapliwy głos. Odwrócił się i zamarł. Przed lepianką stała pokraczna kobieta, wsparta na lasce, ubrana w suknię, która kiedyś musiała być strojna, a teraz była ledwie brudnym, cuchnącym lachmanem. W potargane, siwiejące włosy wpięła kokardę zrobioną z obszarpanego paska tkaniny, równie brudnego jak suknia. Uśmiechała się do niego, pokazując dziąsła bez przednich zębów. Miała wygląd staruchy, ale coś w jej

kalekiej sylwetce czy może gładkich, choć brudnych rękach, z długimi szponami zamiast paznokci, kazalo domyslać się Morganowi, że nie może być stara.

- Dziwujesz się mojej urodzie? - spytała, przewracając oczami z żalosań afekcją. - Nigdy gładziej ode mnie w Osm nie było i nie będzie. On to wie, dlatego po mnie przysłał.

Musi być szalona, pomyślał komendant i poczul współczucie dla tej wynędzniałej, żyjącej wspomnieniami kobiety.

- Do kogo mam cię zaprowadzić? - spytał łagodnie.

- Jakże to, nie wiesz? Tyś na zamku widać niedawno, że mnie nie znasz. Jam jest Zolija, oblubienica pana Abayella - wyprostowała się dumnie.

Morgan poczul się, jakby nagle otrzymał cios w żołądek. Kobieta zachichotała skrzekliwie.

- Nie myślałeś, że aż tak urodziwa? Morgan, ciągle oszolomiony, potrząsał głową.

- O mnie bardy piosenki wyśpiewywały - pochwaliła się. - Chodźmy już, mój pan nie lubi czekać. - I podpierając się kosturem, poszła przodem.

Komendant podążył za nią, zastanawiając się gorączkowo, co powinien zrobić. Czuł, że Zolija mówi prawdę, a wobec tego najlepiej byłoby ją przywieść na zamek, by Rhodes mógł osobiście z nią porozmawiać. Nie można zrobić tego jawnie, na oczach wszystkich, bo pana Osmu nie uraduje widok bylejakiego naloźnicy, a skoro taki jest krewki, Morgan może to i życiem przypłacić. Trzeba przeczekać, aż ciemnieć zacznie i wszyscy zbyt zajęci będą, żeby zwracać uwagę na odzianą w lachmany żebraczkę, postanowił.

Rozejrzal się i niedaleko zobaczył niszczący się sztyl gospody "Złoty Most"

- Stój! - zawołał do kuśtykającej prędko kobiety. - Teraz nie czas jeszcze nam iść na zamek. Poczekaj tu musisz, aż pan Abayell ludzi po ciebie przyśle.

Zolija spojrzala podejrziwie.

- Mam czekać?

- Tam goście jakowys przybyli, a Abayell chciałby się z tobą rozmówić na osobności - skłamał napręde.

Kobieta, widać uspokojona, weszła do gospody. Morgan szybko wynajął pokój, zamówił obiad i pomógł Zoliji wspiąć się na piętro. Patrzył potem jak je, polykając w całości wielkie kęsy mięsa, siorbiąc zupę, rozlewając japo sukni. Nie odmawiała też wina, popijając obficie czerwonego cienkusa. Oczy jej rozbłysły, twarz zarumienila i Morgan dostrzegal w niej ślad dawnej urody, którą tak się chelpila.

- Pan Abayell zawsze poważanie dla mnie miał i uwagę. - Czknęła, ocierając usta rękawem. Spojrzala na Morgana i zmrużyła zalawione oczy. --Tyś też urodziwy, a że starszyś, to i dobrze dla dziewczki, bo rozcnanie masz, co i jak. Ale pan Abayell zawsze najpierwszy, zawsze.

- Dawno cię na zamku nie było? - spytał komendant, chcąc wywiedzieć się jak najwięcej.

- Eee, ledwie dni parę. - Machnęła lekceważaco ręką. - Tyle ino, że do zdrowia przyjść musiałam.

- A co ci się stalo?

Zolija nagle zacisnęła usta i wybuchnęła gniewnie:

- Ty nie wierz tym, co pięta przeciwko panu Abayellowi. Im wszystkim zazdrość we łbach pomieszała. On mnie wybrał! Mnie i basta!

- Bil cię? - spytał lekko i aż wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- Chlop on jak każdy, i takie jego prawo - burknęła kobieta. - Większe nawet, bo on pan całom gembom, zamkiem rządu, to mnie przez okno wy... A tobie co do tego, śpiegu? - wrzasnęła nagle, zrywając się od stołu.

Chroma noga nie utrzymała ciężaru ciała i Zolija runęła na podłogę. Odtrąciła dłoń Morgana i wstała niezgrabnie, obciągając suknię, poprawiając przekrzywioną kokardę.

- Wyrzucił cię przez okno? - powtórzył z niedowierzaniem komendant, kiedy już usiadła z powrotem. - Na Oblicza Pana... A ty go jeszcze bronisz?

- Gupis - zbesztala go, już spokojniej. - On w prawie swoim był, mówię przecie. Poczekaj, ażem ozdrowiała i przysłał po mnie.

Morgan nalał sobie kubek wina, wypil duszkiem i przysiadł na skrzypiącym łóżku. Ukrył twarz w dłoniach. Ta nieszczęsna, szalona kobieta nawet nie wie, co mówi, pomyślał. Ten Abayell to okrutnik i podlec zwyczajny, który swoją kochankę wyrzucił przez okno, a potem pozwolił jej zdychać jak psu. I on ma posłubić Kyrę, tę wypieszczoną gubernatorską córkę? Co on z nią zrobi? Nasyci się, a potem skatuje, jak tę... Rhodes tego nie przeżyje. A prowincja? Jakich rządów zazna pod takim panem? Przecież to golec, głód i ubóstwo wyzierają z każdego kąta. Skoro tak mu brakuje pieniędzy... Skoro tak mu brakuje pieniędzy to gotów... Boże, zwróć na nas swoje Oblicza! Ci bandyci pytali przecież Kyrę, kiedy gubernator wracać będzie... I ten Breg mówił przecie, że na pańskiej służbie jest. Wspomniałem o tym, a on kazał powiesić tego jedynego świadka, którego przywiodłem. To się nie mieści w głowie...

Skurwysyn jeden!

Przeczesał palcami krótko ścięte, siwiejące włosy i spojrzal na nieszczęsną kobietę. Zolija drzemala przy stole, pomrukując od czasu do czasu:

- Gotowam... gotowam...

Powodowany współczuciem položyl na stole korale i chustę, które kupil. Potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi na skobel, porozmawiał chwilę z karczmarzem, wciskając mu kolejną monetę, i co tchu popędził na zamek; Wpadł do kwatery, którą zajmowali jego gwardziści i rozkazał trzem, by natychmiast, podążyli do gospody "Złoty Most" i po kryjomu przyprowadzili Zoliję. Sam pospieszył do gubernatora.

W komnacie gościnnej zamiast Rhodesa zastał panią Tekelję, przechadzającą się niecierpliwie, ustrojona już na ceremonię. Sklonił się jej sztywno.

- Muszę zaraz rozmawiać z gubernatorem - opowiedział się niecierpliwie i skierował do zamkniętych drzwi sypialni.

- Mój małżonek gotuje się do zaślubin córki. Nie ma teraz czasu na przyjmowanie gości - rzuciła wyniośle dostojna pani.

- O ślub właśnie idzie. To bardzo ważne. Pozwól, pani.

- Czyś nie słyszał com rzekła? Odejdź.

- Pani...

- Bo straż palacową zawezwać każę. Morgan zignorował ją i ruszył do drzwi. Pani Tekeija wymierzyła mu policzek z taką siłą, że aż się zachwiał.

- Wynocha! - powiedziała zimno, nie patrząc na niego. Komendant zawrócił na pięcie i wyszedł, czując, jak krew nabiega mu do twarzy, pulsuje w skroniach. Za drzwiami przystanął, by uspokoić się trochę i zastanowić, co dalej.

- Gdzie panienka Kyra? - zaczął przechodzącego sługę. Ten spojrzal na niego zdziwiony.

- A gdzież by? Stroi się do ślubu.

To na nic, pomyślał zgnębiony. Kyra otoczona jest pewnie przez służki, już matka zatroszczyła się, żeby nikt nie miał do niej dostępu. Trzeba poczekać na początek ceremonii. Zolija powinna już wtedy być na zamku i może uda mi się choć przez chwilę porozmawiać z gubernatorem. Wrócił znów na swoją kwatery, odział stosownie do uroczystości i ruszył do kaplicy, gdzie miał odbyć się ślub. Stał przy drzwiach i czekał, wyglądając co chwila swoich ludzi.

Ustawiony na ołtarzu posąg Boga o Wielu Obliczach zwrócony był do wyznawców twarzą wyobrażającą Iveth -Oblicze Życia. Świątynia powoli zapelniała się gośćmi, a o-dziany w szarą szatę akolita zapalał świece. Wkrótce powietrze zrobiło się ciężkie i duszne. Morgan niecierpliwił się coraz bardziej. Kiedy wreszcie orszak prowadzony przez mnicha, ściskającego w dłoni Księgę Objawień, znalazł się w kaplicy, zaklął z rozpaczą. Omylił się dwukrotnie w swoich rachubach. Zoliji ciągle nie było, a weselnicy, zamiast wejść głównym wejściem, skorzystali z przejścia łączącego kaplicę z zamkiem \ byli teraz oddzieleni od niego tłumem gapiów. Zdesperowany, zaczął się przepychać ku przodowi, ale ludzi było zbyt wielu i nikt nie chciał ustąpić zajętego wcześniej miejsca.

Pan Abayell, przystrojony w zółt i czerń, wiódł przez świątynię Kyre, ubraną w ciężką robę, polyskującą krwiscie w świetle świece. Twarz oblubienicy pozbawiona była uśmiechu, a czerwony kolor sukni uwydatniał bladość skóry i cienie pod oczami. Wzrok miała zamglony i nicobecny, jakby nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, gdzie jest.

Morgan patrzył bezsilnie, jak orszak lokuje się u stóp ołtarza, a kapłan otwiera księgę i zaczyna czytać nabożne wersety.

- Jużem gotowa, mój panie! - rozległ się nagle przenikliwy pisk.

W drzwiach świątyni, oplatana za dużym płaszczem, ustrojona w jaskrawą chustę i czerwone paciorki, stała Zolija, wywijając zamasyżycie kosturem.

- A toś mi niespodziankę sprawił, mój panie. Ja zawsze wiedziałam, że panią na zamku będę! - piszczała podniecona, przepychając się ku przodowi.

Wielu rozpoznało dawną kochankę pana na Osm, rozstapili się więc, tworząc ciasny szpaler. Zolija kroczyła dumnie, powlócząc kulawą nogą, poprawiając brudną kokardę. Abayell zamarł na chwilę, z niedowierzaniem patrząc na obszar-paną postać.

Ze swojego miejsca zerwał się Rhodes, czerwony ze złości.

- Co to jest? - krzyknął. - Co tu się dzieje? Pani Tekeija również wstała, a jej piękną twarz oszpecił grymas wściekłości. Szarpała rąbek zielonej sukni tak mocno, że aż jej zbieleły dłonie. Kyra zamrugła oczami, jakby nagle przebudzona ze snu, i cofnęła się w stronę matki.

Abayell, słysząc okrzyk gubernatora, oprzytomniał.

- Zabierzcie stąd te wariatki! - krzyknął. Dwaj gwardziści, przepychając się pomiędzy obecnymi, dopadli Zoliji i zaczęli ciągnąć ją za suknię.

Ostawcie mnie! - wrzasnęła histerycznie kobieta. - Ja panią na zaniku będę! Mój panie, ratuj mnie! Ratuj swoją Zoliję! Szarpnęła się mocniej i gwardzistom został w rękę brudny lachman. Zerwane korale rozsypały się po kamiennej posadzce. Dokuśtykała do ołtarza, potknęła się o czerwony chodnik, kostur wyleciał jej z rąk. Na kolanach dopelzła do Abayella i spojrzala wprost w przepelnione nienawiścią oczy.

- Ratuj swoją Zoliję - zaskomlała, czepiając się jego nóg.

- Kto to jest? - krzyknął ponownie Rhodes, stając przy Abayellu. Minę miał tak grozną, że kapłan trzymający Księgę Objawień cofnął się przed nim i wpadł na ofiarny ołtarz. Stojący na nim Puchar Zaślubin zachybotał się niebezpiecznie.

Abayell wstrząsnął się pod dotykiem dawnej nałożnicy, błyskawicznie wyciągnął sztylet, który ku ozdobie miał zawieszony u pasa, i z wściekłością zatopił w sercu uwieszanej u jego nóg kobiety. Ciszę, która nagle zapadła, przerwał kobiecy jęk.

Zolija opadła martwa. Z ust pociekła jej krew, w oczach zastygł wyraz niedowierzania. Abayell kopniakiem strącił ciało ze stopni.

- Uprzątnijcie to ścierwo - warknął, wycierając ostrze. Gubernator złapał go za ramię.

- Kim ona była? Dlaczego mieniła siebie panią na zamku? Mów! - zażądał niecierpliwie.

Pan na Osm zwrócił na niego ciężkie spojrzenie. Mierzyli się wzrokiem, póki Rhodes nie opuścił oczu. Abayell wyciągnął rękę w kierunku narzeczonej.

- Nie pozwólmy, najdroższa, żeby to zdarzenie popsulo nasze zaślubiny - powiedział.

Kyra, popchnięta przez panią Tekeiję, znów stanęła obok narzeczonego, a on wziął jej dłoń w swoją i ścisnął mocno. Mimo spokojnego głosu, musiał być wytrącony z równowagi, bo czoło miał zmarszczone jak przy dużym wysiłku, twarz mokrą od potu, a ręka, którą skinął na kapłana, drżała wyraźnie.

Gubernator wrócił na swoje miejsce, a wielebny drżącym głosem podjął modlitwę.

Oszolomieni ludzie patrzyli na sponiewierane szczątki Zoliji wynoszone przez gwardzistów. Słychać było kobiecey szloch i niewyraźne męskie pomrukiwania. Ten i ów westchnął, inni zaszemrali, niepewni, co sądzić o tym zdarzeniu. Morgan, który zdołał przepchnąć się ku przodowi, tuż za plecy odzianego w szarą szatę akolity, z niedowierzaniem patrzył na uspokojonego Rhodesa.

- Na Oblicza - usłyszał cichy szept mnicha. - Przecież on popełnił mord w świątyni, zbezczeszczył boże domostwo, i nikt na to nie zważa?

Zdesperowany Morgan szarpnął go za rękaw.

- Trzeba przerwać ceremonię - podchwycił gorączkowo komendant. - Nie godzi się, żeby gubernatorską córkę za mordercę wydawać.

Mnich zawahał się i zwrócił oczy na Rhodesa, spokojnie słuchającego słów kapłana.

- Przecież on przelał krew w świętym miejscu. Urok jakiś musiał rzucić na gubernatora i ojca Realma, że jak oglupiali się wydają - nie ustępował komendant. - Ta nieszczęsna kobieta była dawną kochanką Abayella, wiedziała o wszystkich jego ciemnych sprawkach i miała świadczyć przeciwko niemu, więc zabił ją jak psa, czarownik przeklęty!

Ci, którzy słyszeli jego słowa, odruchowo złożyli palce w znak odczyniający uroki. Ktoś poświadczył gorliwie:

- Już dawno ludzie gadają, że Abayell czarownikiem jest.

- Zolija zmysły przez niego straciła, tak ją omamili...

- Prawda to, prawda - zaszemrało kilka męskich głosów.

- Zrób coś, na Oblicza! - jęczał Morgan. - Inaczej wszyscyśmy tu zgubieni i potępieni!

Oczy mnicha rozgorzały fanatycznym blaskiem. Kiedy szedł do ołtarza, rozstąpiono się przed nim. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu, a on stanął za niczego nie spodziewającym się Abayellem i położył mu ciężką rękę na ramieniu.

- Zatrzymuję cię w imieniu Boga o Wielu Obliczach. Jesteś oskarżony o Uprawianie czarów! - zagrmiał. - Pojmać go, związać, zasłonić oczy i uszy, żeby i na was nie mógł rzucić uroku. Bądźcie silni wiarą! Nie dajcie się omamić jego sztuczkom.

Pan na Osm dał się zaskoczyć. Widząc zbliżających się ku niemu gwardzistów, wyrwał się mnichowi i rzucił do bocznego przejścia, ale tam tłoczyła się służba zamkowa i czeladź, która przyszła, by ukradkiem popatrzeć na uroczystość. Tarasowała teraz wąskie drzwi, uniemożliwiając swojemu panu ucieczkę. Abayell próbował wyjąć swój sztylet, ale Morgan, który już wcześniej postępował tuż za akolitą, nie pozwolił na to. Jednym ciosem powalił Abayella na podłogę, nim ten zdążył obrócić na niego swe gorejące nienawiścią i strachem oczy. Nigdy jeszcze widok zwyciężonego przeciwnika nie sprawił komendantowi tyle radości i ulgi. Dopilnował, by nieprzytomnego związano mocno,

a głowę omotano jego własnym, paradnym płaszczem. Gapię tłoczyli się; by nie uronić ani chwili z nieoczekiwanego widowiska. Pani Tekeija zemdlala, gubernator był bliski apopleksji, a Kyra wreszcie spojrziała przytomniej i osunęła się na ławę, dygocząc niczym w ataku zimnicy. Akolita tłumaczył coś kapłanowi, gestykulując szeroko.

Sąd odbył się następnego dnia. Morgan nie musiał występować jako oskarżyciel. Znalazło się wielu, którzy gotowi byli zeznawać przeciwko Abayellowi już to z nienawiści, dla zemsty, lub z głębokiego przekonania wywołanego fanatyzmem mnichów. Nie znalazł się nikt, kto wystąpiłby w jego obronie. Stos zapłonął, nim wzeszedł księżyc.

Komendant przypatrywał się temu ukryty głęboko w cieniu. Nie były mu mile wrzaski umierającego w płomieniach, ani pobożne pienia mnichów sankcjonujących śmierć w imieniu bożym. Mimo to nie czuł wyrzutów sumienia. Wiedział, że Abayell po wielokroć zasłużył na śmierć.

W oddaleniu od tłumów stał gubernator Rhodes. Mimo że w zwodniczym blasku płomieni trudno było odcyfrować targające nim uczucia, to wydał się Morganowi bardzo samotny. Chciał podejść do niego, wytłumaczyć, ale nim zdecydował się na pierwszy krok, z cienia wynurzyła się drobna figurka Kyry, okrytej długim płaszczem. Wiatr rozwiewał jej okrycie, odchyłał kaptur, targal kosmyki włosów, rzucając je na bladą twarzyczkę, zasłaniając oczy. Podeszła do ojca i nieśmiało ujęła go pod ramię. Rhodes jeszcze chwilę trwał nieruchomo, jakby nie zauważył dotknięcia córki, aż wreszcie odetchnął, odwrócił się od ognia i poprowadził ją przez rozstępujący się przed nimi tłum na zamek, nad którym lopotąła pocięta na znak hańby żółto-czarna chorągiew Abayella.

Iwona Lidia Surmik